

Robespierre – przestroga dla idealistów – 4

17 sierpnia 2017

WIELKA DEBATA O KOLONIACH: CZY WOLNO NAM KONSEKROWAĆ NIEWOLĘ?

Wielki sukces gospodarczy państw europejskich uprawiających politykę kolonialną zapewniał sobie trwałość dzięki konsekwentnej dyskryminacji, uciskowi oraz pacyfikacji rdzennych mieszkańców. Tubylczy mieszkańcy obu Ameryk oraz sprowadzani na ich miejsce więźniowie i ludzie ubodzy, po pozbawieniu ich wszystkich praw i zakuciu w dyby, nie okazywali się wielce produktywną siłą roboczą, przynoszącą samozwańczym panom spodziewane zyski. Zasoby ludzkie – termin przywrócony obecnie do łask w ramach „nowoczesnej” nomenklatury ekonomicznej (!) – szybko się eksploatowały, zwłaszcza rdzenni mieszkańcy umierali w rezultacie epidemii i brutalnego traktowania. Ukuto przy tym pogląd, że gorący i niezdrowy klimat Ameryki nie służy Europejczykom i uniemożliwia im pracę na plantacjach. Rozwiązanie dylematu dla przedsiębiorczych kolonistów wskazała korona portugalska, która jako pierwsza zaczęła sprowadzać Afrykanów z zachodniego wybrzeża i degradować ich do miana niewolników. Od XVI wieku i od XVII, na masową już skalę, w handel afrykańskimi niewolnikami angażują się kolejne europejskie nacje. Najpierw są to Portugalczycy i Hiszpanie, im bliżej XVIII wieku tym coraz większy udział w tym procederze posiadają Anglicy, Holendrzy i Francuzi, w dalszej kolejności także Duńczycy a nawet Szwedzi i Brandenburczycy.

Najbardziej newralgicznym stuleciem w handlu afrykańskimi niewolnikami okaże się wiek XVIII. W „wieku światła” na zachodnią półkulę wywieziono dalece ponad 6 milionów mieszkańców tego kontynentu, przy czym od 15 do ponad 30% każdego załadunku nie przeżywało ciężkiej przeprawy przez Atlantyk. Stosunkowo późno do puli beneficjentów handlu

niewolnikami dołączają Francuzi. Pierwszy prawdziwy impuls ku temu daje król Ludwik XIII w 1642 roku, który podobnie jak jego następcy, pragnie rozwoju i korzyści z francuskich posiadłości za oceanem. W XVII wieku na francuskie wyspy morza karaibskiego oraz do Gujany Francuskiej trafia co najmniej 160 tysięcy afrykańskich niewolników. Lilia Burbonów zanurzy się aż po łodygę w niewolniczym prosperity w kolejnym stuleciu. Między 1701 a 1810 rokiem Francuzi sprowadzają za Atlantyk aż 1,35 mln niewolnych. 790 tysięcy z nich trafiło do kolonii Saint Domingue na Hispanioli (dzisiejsze Haiti).

Moralna i ekonomiczna krytyka niewolnictwa w Europie dopiero kiełkowała, przez wiele dekad była jeszcze zdominowana przez interesy stronnictwa kolonialnego. Radykalni teologowie dowodzili, że eksploatacja Afrykanów ma głębokie uzasadnienie biblijne – ubogich braci z czarnego kontynentu chętnie przedstawiano jako potomków Chama, już przed tysiącami lat skazanych na niedolę przez najwyższą instancję wyroku boskiego. Francuski duchowny z XVII wieku, Jacques-Bénigne Bousset dowodził wręcz, że potępienie niewolnictwa byłoby potępieniem Ducha Świętego, który za pośrednictwem św. Pawła miał zalecić niewolnikom pełną akceptację własnego statusu. Teologicznej sakralizacji niewolnictwa kroku dotrzymywali filozofowie, których poglądy są dziś bardzo wybiórczo prezentowane w podręcznikach opatrzonych sygnaturą edukacji narodowej. Thomas Hobbes w popularnym „Lewiatanie” wysławia niewolnictwo jako pożądane i usprawiedliwione społecznie. Thomas Locke, utrzymuje, że pierwotnym stanem ludzkości była wolność i równość, lecz formuła czystej kartki, tabula rasa, ma tu swoje wertepy i wyszczególnienia. I tak według Locke’a niewolnictwo miało być skutkiem wojen sprawiedliwych. Tym sposobem posiadało ono swoje miejsce w społeczeństwie „wolnych ludzi”.

Piórem takim poglądom służył również Wolter, który moralnie wybielał Europejczyków, palcem wskazując na Afrykanów: „patrzcie, to ten lud sprzedaje swoje dzieci i to on jest

godny największego potępienia!" – usłyszymy z ust filozofa rozumu. Monteskiusz w swoim „Duchu Praw” pisze, że choć „niewola jest przeciw naturze”, to „w pewnych krajach opiera się na przyrodzonej racji”. Rasową wykładnię pod dyskryminację i politykę niewolnictwa wyłożył w 1754 roku, szkocki myśliciel David Hume. W eseju „Of National Characters” głosi on, że nigdy nie było cywilizowanego narodu murzyńskiego. Mało tego! Nie było nawet żadnych wybitnych jednostek z czarnego kontynentu. Żaden z przedstawicieli czarnej rasy, mieszkających wśród białych Europejczyków, nie wykazał jakichś twórczych zdolności – deklamował Hume. Niedaleki od tego twierdzenia był również Immanuel Kant. Nie były to głosy odosobnione. Nienajlepsze zdanie o zdolnościach umysłowych mieszkańców Afryki posiadał również Thomas Jefferson, który uważał, że ich intelekt znajduje się „nawet na niższym stadium niż u amerykańskich Indian”. W merkantylistycznej ideologii było nie do pomyślenia by cenić sobie bardziej szklane paciorki niż złoto, które „u cywilizowanych narodów posiada tak ogromną doniosłość”. Imponujące! Hume ani Kant nie słyszeli o ruinach Wielkiego Zimbabwe. Wolter przekonujący, że Europejczycy nie robią nic złego, bo niewolnictwo i tak istnieje w Afryce, nie brał pod uwagę, że popyt generowany przez Europejczyków, zwiększał terytorialny promień niewolniczych eskapad. O ile w XVII wieku przeciętna wyprawa po niewolników na zachodnim wybrzeżu Afryki zapuszczała się 100 km w głąb lądu, w XVIII wieku penetracji podlegał czasami obszar o promieniu 6-krotnie większym.



Poglądy a'la Wolter, ubrane w szaty literatury straganowej, przenikały do ludowych wyobrażeń. Interes w podtrzymywaniu uprzedzeń i dziejowej konieczności podkreślali ochoczo sami zainteresowani – koloniści i kupcy. W ustach tych ostatnich bardziej przekonująco brzmiały nawet argumenty natury ekonomicznej. W 1796 roku w brytyjskim parlamencie podczas dyskusji o zniesieniu niewolnictwa, dwóch posłów Izby Gmin, Tarleton i Young, oświadczyli, że zatwierdzenie takiego niedorzecznego prawa doprowadziłoby do ruiny Londynu, Liverpoolu, Bristolu i Glasgow. Francuscy zwolennicy utrzymania niewolnictwa zapewne gardłowałiby o rychłym upadku Nantes, Le Havre, Bordeaux i La Rochelle. Znamienne zdają się tu słowa bankiera i dawnego burmistrza Londynu, Nathaniela Newhama, który utrzymywał, że zniesienie niewoli sprawiłoby, że ulice miasta nad Tamizą wypełniłyby się „ludźmi cierpiącymi w równym stopniu co ci biedni Afrykanie”.

Jakże uderzającym jest tu fakt, że ludzie tacy jak Locke, Wolter i Hume wdarli się na pierwsze stronnice historycznych podręczników, podczas gdy ich współcześni, głośno mówiący i piszący o wynaturzeniach niewolnictwa są zupełnie pomijani lub grają rolę wyraźnie drugoplanowe. Oto trójka Szkotów. Francis Hutcheson pisał, iż „istniejące w naturze ludzkiej naturalne poczucie sprawiedliwości i ludzkości odrzuca istnienie nierówności i przemocy”. Żadne zatem prawo nie uzasadnia

przemieniania człowieka w pozbawiony praw przedmiot. Żyjący nieco później acz w XVIII wieku, James Beattie głosił, że wszyscy ludzie na ziemi są braćmi i sąsiadami niezależnie od koloru skóry. Do tego samego sprowadzały się nauki George'a Wallace'a, dosadnie przekonującego, że: „Instytucja tak nieludzka, jak niewolnictwo, powinna zostać obalona”. Wspomnieć tu należy również o Edmundzie Burke'u oraz Monteskiuszu. Ten ostatni choć dość pokrętnie, także dostarczył pewnych argumentów na rzecz eliminacji niewolnictwa.

We Francji, gdzie ruch abolicjonistyczny wydaje się mniej przekonujący niż ten w Szkocji czy nawet Anglii, najbardziej donośnym dziełem głoszącym stopniowe zniesienie niewolnictwa, była przytoczona wcześniej „Historia Obojga Indii”, autorstwa Raynała. Mocnej argumentacji pod obalenie instytucji ludzi niewolnych, wyraźniejszej niż Monteskiusz, dostarczył Jean Jacques Rousseau w „Umowie Społecznej” z 1762 roku. Potępiając inklinacje Hugo Grotiusa sugerującego, że zarówno pojedynczy człowiek jak i cały naród mogą odstąpić swoją wolność, skonstatował: „prawo niewoli nie istnieje nie tylko dlatego, że nie jest prawowite, ale dlatego, że jest niedorzeczne, niczego nie oznacza. Wyrazy niewolnik i prawo, są sprzeczne i wzajemnie się wykluczają. Czy człowieka do człowieka, czy człowieka do narodu, zawsze bezsensowną będzie taka deklaracja: zawieram z tobą układ na twoją wyłączną szkodę, a na moją wyłączną korzyść i będę go dotrzymywał tak długo, dopóki zechcę, a ty będziesz go przestrzegał, dopóki ja zechcę”.

W 1783 roku we Francji powstało Towarzystwo Przyjaciół Czarnych. Celem stowarzyszenia było zwalczanie rasizmu i popieranie działań zmierzających do stopniowego zniesienia niewolnictwa. Na liście członków organizacji znajdziemy głośnych później rewolucjonistów: Brissota, Dantona, Condorceta i Grégoire'a. Zrzeszenie to miało charakter dość elitarny: członkostwo w klubie okupione było znaczną składką,

nieosiągalną dla przeciętnej kieszeni. Działalność klubistów nie cieszyła się powszechnym szacunkiem, nie brakowało jej otwartych i zakamuflowanych przeciwników. Bertrand de Molleville, minister marynarki, a następnie szef tajnej policji Ludwika XVI, pisał później w swych pamiętnikach, że członkowie organizacji brali pieniądze od Mulatów. Teoria fantastyczna, jak widzimy jednak, warta wyniesienia na wokandę dla zbierających szyki admiratorów niewolnictwa, zwłaszcza, że w pewnych okolicznościach mogła trafić na podatny grunt.

Na Saint-Domingue w 1789 roku wyzwolenicy oraz Mulaci, liczyli sobie łącznie 28 tysięcy osób i obejmowali około 5,28% populacji kolonii. Europejczycy, w tym głównie Francuzi, z liczbą 40 tysięcy osób stanowili 7,55% ogółu. Reszta, ponad 460 tysięcy, to mimowolni mieszkańcy wyspy, niewolnicy, zaprzęgnięci do różnorodnych prac na plantacjach kawy, cukru, bawełny, kakao i indygo, przy produkcji rumu i w domowych obejściach. Mulaci i wyzwolenicy posiadali gdzieś tam własne plantacje i pracujących nań niewolników, partycypując tym sposobem w obrocie towarami kolonialnymi. Można by powiedzieć, że mieli wszystko... wszystko prócz praw politycznych oraz dedykowanej im dyskryminacji, którą biali kolonowie demonstrowali swobodnie i otwarcie. Ustawa z 1685 roku, Code Noir, oficjalnie zrównywała w prawach białych i wyzwolenców, ale silna reakcja przeciwko temu rozporządzeniu, doprowadziła na przestrzeni XVIII wieku do restaurowania obłędnych praktyk przeszłości. Z dniem wybuchu rewolucji we Francji, mieszkańcy kolonii, poczynając od niewolników na białych kolonach kończąc, z zainteresowaniem wsłuchiwali się w wiatry szalejące po drugiej stronie Atlantyku. Tym ostatnim szczególnie zależało na zakłóceniu obiegu informacji, tak by wywrotowe hasła równości nie przeciekały silnym nurtem do obiegu opinii mieszkańców Antyli. Zwłaszcza dotyczyło to niewolników, dla których przewidywano tylko dyscyplinę i posłuszeństwo.



Zgromadzenie kolonistów na Saint Domingue, było ciałem politycznym reprezentującym interesy białych mieszkańców wyspy. Roczne obroty między kolonią a metropolią osiągały wartość 30 milionów liwrów i stanowiły wartość nie do przecenienia dla wszystkich beneficjentów tego transferu. Do francuskich portów zawijały statki z nieprzebraną ilością kawy, cukru, bawełny i rumu na pokładzie. Biali koloniści odbierali w zamian pomoc żywnościową i towary luksusowe. Zakwaterowani na wyspie posiadacze niewolnych, uraczeni swoim sukcesem, coraz częściej dochodzili do wniosku, że mogliby sobie pozwolić na niezależność od centrali i utworzyć niepodległe państwo, podobnie jak zrobili to w 1776 roku niedalecy sąsiedzi ze Stanów Zjednoczonych. Groźba niezależności była dobrym papierkiem lakmusowym, zabezpieczającym kolonistów przed dyktatem z Paryża. A ten stawał się coraz bardziej realny wraz z wyziewami równości jakie unosiły się z przyjętej właśnie za oceanem Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela. Koloniści rezydujący na Antylach nie byli osamotnieni. We Francji wspierała ich liczna śmietanka towarzyska, złożona z właścicieli ziemskich, bankierów, spekulantów, kupców i negocjantów. Wystarczy pomnieć, że najbardziej wpływowi i najpotężniejsi właściciele plantacji mieszkali na stałe we Francji, na Karaibach utrzymując dobrze opłacaną świtę doglądającą ich majątków. Grono te, rekrutujące się zarówno z arystokracji jak i

zamożnych mieszczan, będzie usilnie wspierać interesy kolonistów, dążąc do zadekretowania ich instrukcji w tworzonej właśnie konstytucji.

Postulaty zgromadzenia kolonistów wyartykułował posłom francuskiej Konstytuanty, reprezentant kliki z Saint Domingue, niejaki Jacques Eyma: „Ubóstwiamy rewolucję, walczyliśmy w jej obronie w Ameryce” – oświadcza, by po chwili dodać: „Musimy wam jednak powiedzieć z całą szczerością, że kolonie będą stracone, zaś ich ludność zniknie z powierzchni ziemi, jeżeli nie zachowacie ścisłej linii podziału pomiędzy człowiekiem wolnym a wyzwoleniem i pomiędzy wyzwoleniem a niewolnikiem”. W praktyce oznaczało to nawet nie tyle utrzymanie istniejącego porządku, co jego poszerzenie, całkowite wrzucenie do kosza zapisów Code Noir oraz ostateczne uświęcenie podziału klasowego i rasowego na Antylach. Za tą logiką kryło się przekonanie, że nadanie praw politycznych wyzwolencom będzie pierwszym krokiem do rychłego zniesienia niewolnictwa. Plan zatem był prosty. Należało torpedować wszelkie próby przyznania praw Mulatom i czym prędzej skodyfikować interesy plantatorów w konstytucji. Na łamach Konstytuanty projekt ten wspierać mieli posłowie zrzeszeni w tzw. klubie Massiac, nazwę zawdzięczającego nazwisku markiza de Massiac, w salonie, którego zbierali się zwolennicy utrzymania niewolnictwa i wyraźnych podziałów rasowych.

Koteria dążąca do pozbawienia praw politycznych Mulatów szybko pozyskała i wytoczyła lotny kontrargument. Jesienią 1790 roku na Saint-Domingue dochodzi do szybko stłumionego powstania Mulatów, pod dowództwem Vincenta Ogé i Jeana Baptiste’a Chavannesa. Świadomość zmian zachodzących w społeczeństwie francuskim i od lat znoszone brzemie dyskryminacji, popchnęło wyzwolenców do upomnienia się o własny udział w ustalaniu nowych granic społecznych. Bunt, wzniecony bez udziału niewolnych, nie miał większych szans powodzenia. Nie ułatwił również obrony praw wyzwolenców na łamach Zgromadzenia Narodowego w Paryżu. Wśród posłów opowiadających się za

odrzucając granice rasowe i emancypacją Mulatów, znaleźli się Grégoire, Petion, Lanjuinais, Barère i Robespierre. Ci, którzy pragnęli rzeczywistego obalenia instytucji niewolnictwa byli przekonani, że nie da się tego zrobić nagle i potrzeba ku temu powolnych kroków. Inni – chociaż szli tą samą drogą, obierali sobie tak naprawdę zupełnie inny motyw przewodni – uważali, że w celu utrwalenia istniejącego porządku, należy włączyć do wspólnoty narodowej wyzwolenców, którzy w przeciwnym razie, pozbawieni praw, mogą okazać się skłonni do aktów wywrotowych i komitowy z niewolnikami. W latach 1790-1791 nie usłyszymy więc w Konstytuancie powracających repetycji przeciwko samemu niewolnictwu, zaś za obroną praw wyzwolenców będą kryć się najróżniejsze intencje.

Od początku przewodnią rolę podczas debaty o statusie kolonii i niewolnictwa na łonie Zgromadzenia Narodowego próbowali odgrywać szermierze słowa z klubu Massiac, miłośnicy starego porządku oraz posłowie powiązani z kompaniami kupieckimi. Ich libretto brzmi zastanawiająco podobnie: „Żadnych koncesji i praw politycznych dla Mulatów i wyzwolenców! Utrzymanie niewolnictwa jedyną i konieczną drogą!”. Wśród abiturientów plantatorów znajdziemy różnorakie figury. Nie zabraknie przeciwników większości proponowanych zmian ustrojowych, takich jak Malouet i Maury. Dalej pojawiają się osoby, które jeszcze przed paroma miesiącami chętnie eksponowały proporce wolności. Za prawdziwą awangardę możemy uznać tutaj lamethystów ze złotoustym Barnavem na czele. Ich poparcie dla utrzymania najbardziej ohydnych form podziałów i niewolnictwa na Karaibach, nie było zresztą przypadkowe. Charles Lameth dostał w posagu wielkie plantacje cukru i czerpał bezpośrednie korzyści z niewolniczego procederu. Na czele Zgromadzenia białych kolonistów na Saint Domingue, stał natomiast wujek Barnave’a, niejaki Bacon de la Chaveliere. Nie ma zatem przypadku w tym, że oboje będą robić wszystko by niewolnictwo zostało uświęcone poprzez skodyfikowanie go w tworzonej właśnie konstytucji.



Argumentacje klubowiczów z Massiac, przedstawił wiosną 1790 roku poseł Pellerin. On i ludzie mu podobni nie chcieli szukać usprawiedliwienia niewoli w Biblii, nie chcieli używać metod za pośrednictwem, których przekonano w XVII wieku Ludwika XIII o konieczności zaangażowania się Francji w handel niewolnikami. Zdaniem Pellerina posługiwanie się religijnym uzasadnieniem niewolnictwa nie jest godne „wieku światła”. Zachęca więc uprzejmie do przyjrzenia się społeczeństwom Rzymu i Grecji, w których niewolnictwo również stało na porządku dziennym. Niewolnictwo czy abolicja? Odpowiedź w jego ustach mogła być tylko jedna. Natychmiastowe zniesienie niewoli byłoby policzkiem dla Francuzów, doprowadziłoby do bankructwa tysiący współobywateli i ogołocenia rynku z towarów kolonialnych: kawy, cukru, bawełny a nawet rumu. Ponadto – jak przekonuje Pellerin – niewolnicy wywodzą się z Afryki gdzie niewolnictwo jest czymś naturalnym. Wśród Europejczyków niewolnicy mają się lepiej niż w Afryce, traktowani są łagodniej, a prawa nadane Afrykanom skazanym na wieczną pracę, czynią ich los bardziej znośnym a nawet szczęśliwym. Wolteriański morał Pellerina wywołuje dreszcze: „dla wszystkich jest więc lepiej, jeśli niewola się utrzymuje”.

Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela, w imię podtrzymania niewolnictwa, powinna mieć swoje wybrzuszenia i depresje. W wystąpieniach ludzi podobnych Pellerinowi słyszymy więc często

o różnicach klimatu, obyczajów i kultur, uzasadniających rezygnację z zasad wolności w koloniach. By to wszystko mogło się ostać – przeczytamy w notatkach ludzi klubu Massiac – winniśmy wpierw uchwalić ową wielką preambułę, podnoszoną tak wytrwale przez plantatorów. Różnice między białymi kolonistami i wyzwolencami, oraz wyzwolencami i niewolnikami winny być zachowane!

Patronowie plantatorów i niewolnictwa, przez cały okres debaty nad statusem kolonii i niewolnictwa będą zderzać się z konsekwentną postawą posłów demokratycznych, przeciwnych stopniowaniu wolności. Nawet najbardziej zaciekli przeciwnicy niewolnictwa nie wazyli się wówczas mówić o całkowitym zniesieniu niewoli. Batalia toczyła się teraz o to czy wyzwolenicy, Mulaci i potomkowie niewolników, będą mieli te same prawa co biali Francuzi.

Pierwsza wielka fala dysputy o koloniach zalewa Paryż w maju 1791 roku. Obok głosów Petiona, Grégoire'a, donośnie pobrzmiwa z trybuny Maximilien Robespierre. 12 maja wyraża on zaskoczenie niwelowaniem kolejnego przyczółku wolności. Przecież preforsowana wbrew mu podobnym, ustawa o obywatelach czynnych i biernych, nie czyniła żadnego rozróżnienia pod kontem koloru skóry.

Robespierre na łamach Zgromadzenia Narodowego protestuje przeciwko ponownemu „handlowaniu prawami człowieka” i uleganiu szantażom kolonistów. Odrzuca obawy, iż w razie przyznania praw wyzwolencom, koloniom grozi rychły upadek. Nie jest w tym znowu tak bezwzględny, nie odcina się od cukrowego Lametha i klienteli z Saint Domingue. Maximilien przekonuje ich ochoczo: „Rozumujemy według waszych własnych założeń”. Nadanie praw wyzwolencom zbliży tychże do tradycyjnych plantatorów, 68-tysięczna populacja ludzi wolnych w pełnym tego słowa znaczeniu, stworzy silną unię i skonsoliduje instytucje niewolnictwa na Karaibach. Jeśli zaś zawahamy się – ostrzega Robespierre – i wykluczmy Mulatów z rodziny prawa, to dyskryminowani wyzwolenicy zbliżą się do niewolników i wywołają

rebelię tym straszniejszą. To przemawiająca do wyobraźni argumentacja, na potrzebę chwili rzecz jasna, z perspektywy czasu – powiemy – za mała jak na przyjaciela wolności.



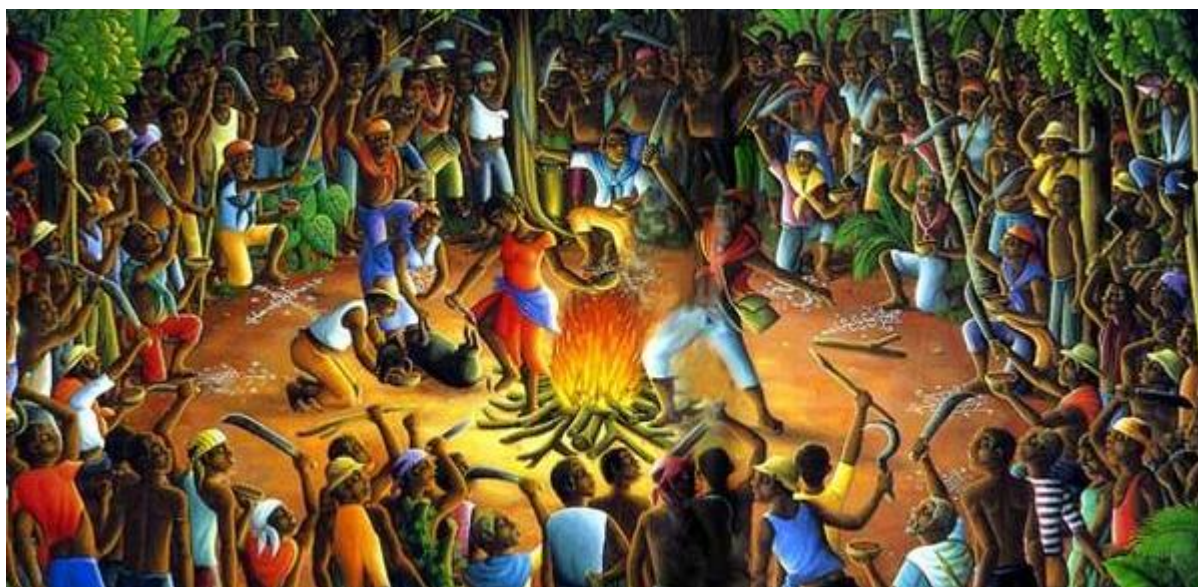
13 maja, demokratyczni posłowie Konstytuanty stają przed kolejnym egzaminem. Lobby kolonialne postanowiło uczynić krok do przodu i zabezpieczyć swoje interesy sięgając po mechanizm najdosadniejszy. Z trybuny rzucono propozycje „uświęcenia niewoli przez wprowadzenie do konstytucyjnego dekretu o prawach zgromadzeń kolonialnych słowa esclaves, czyli niewolnicy”. W Zgromadzeniu Narodowym wybucha ferwor: Petion, Lanjuinas ani Grégoire nie zamierzają godzić się na prawne konsekrowanie niewoli. Przewodniczący obrad próbuje przywrócić porządek, ale ponoć potrząsany przez niego dzwonek rozpada mu się w ręce. Wśród tumultu Robespierre krzyczy: „Niechaj przepadną kolonie, jeżeli ceną ich ma być wasze szczęście, sława i wolność! Powtarzam: niech przepadną kolonie, jeśli kolonowie chcą szantażem nas zmuszać do zadekretowania tego, co leży w ich interesie”.

Dyskusja przedłuża się tego samego dnia w klubie jakobinów. Robespierre podczas klubowej dysputy kieruje ironiczne słowa potępienia pod adresem Barnave’a i braci Lameth, którzy „chcą odebrać bliźnim prawa ludzkie, gdyż Bóg im dał inny kolor skóry”. Charles Lameth próbuje odpowiedzieć, ale zostaje zakrzyczany przez jakobinów, stojących tego dnia wyraźnie po

stronie Maximiliena. Majowa dyskusja o koloniach z 1791 roku kończy się niejednoznacznym kompromisem. 15 maja, prawa polityczne przyznano tylko niektórym wyzwolencom: „tym urodzonym z wolnych rodziców i spełniającym wymogi cenzusu wyborczego”. Dekrety uchwalane w Paryżu nie oznaczały realnych i natychmiastowych zmian, kolonowie nie pierwszy raz skutecznie sabotowali zalecenia metropolii pod drugiej stronie Atlantyku. Kula śnieżna, lepiona przez nich od lat i nabierająca rozpędu wraz z wybuchem rewolucji, wchłoneła niemniej już tyle upokorzeń i niesprawiedliwości, że w końcu, wcześniej czy później, musiała rozbić się na miliony cząsteczek rażących bolesnym rykoszetem tych, którzy dotąd czerpali zeń profity.

Wielki wulkan niepokoju na Saint Domingue, przyszłym Haiti, wybucha trzy miesiące później, w sierpniu 1791 roku. Wzmózione ucieczki i lokalne bunty niewolników, kończące się incydentalnym podpalaniem plantacji notowano tu już od 1789 roku. Na początku sierpnia 1791 r. wybuchają szczególnie mocne rozruchy w parafii Limbé, na północy wyspy, stłumione gwałtownie przez białych kolonistów. Nawet jeżeli bunt w Limbé uznamy początkowo za swego rodzaju falstart, to zaraz dostrzeżemy w nim zapowiedź wydarzeń jakie rozegrają się niebawem, zaledwie kilka tygodni później. Nocą 14 sierpnia 1791 roku w borze Bois-Caiman położonym na Nizinie Północnej, odbyło się wielkie zebranie niewolników. Wzięli w nim udział delegaci niewolnych, reprezentujący najróżniejsze plantacje, łącznie około 200 osób. Podczas obrad pod przywództwem nijakiego Boukmana, ustalono plan powstania. Kilka dni później, 22 sierpnia 1791 roku niedaleko Cap, francuskiej stolicy kolonii Saint Domingue, wybucha potężna rebelia niewolników, która obejmuje północny region wyspy, odciskając następnie pośrednie lub bezpośrednie piętno na południu i zachodzie kolonii. Niewolnicy, zrzucający wieloletnie brzemie wyzysku, ucisku i niesprawiedliwości masowo palą plantacje i zabijają ich zarządców, wreszcie wielu innych białych, którzy jawią się jako przedłużone ramie kneblującego ich od dawna

aparatu opresji. Francuzi by uniknąć srogiej pomsty chronią się za murami Cap i stamtąd organizują karne wyprawy. W ciągu następnych miesięcy walki przeistaczają się we wzajemną rasową wendettę. Co więcej Mulaci i inni wyzwolenicy, początkowo bierni, zaczynają przechodzić na stronę walczących niewolników. La Grande Insurrection, wielkie powstanie niewolnych, rozpoczyna bieg zdarzeń, który na przestrzeni najbliższych lat na zawsze odmieni oblicze największej francuskiej kolonii na Karaibach.



W sierpniu 1791 roku wielka pożoga jaka ogarnia Saint Domingue sprawia, że problem kolonii i niewolnictwa raz jeszcze wraca na łono debatującego Zgromadzenia Narodowego. Na trybunę wdzierają się członkowie koterii z klubu Massiac oraz pragnący zdominować Konstytuanę, lamethyści. Ostrzegają posłów przed utratą kolonii, upadkiem handlu i druzgoczącym ogołoceniem rynku z towarów kolonialnych. Alexander Lameth, przywołując skargi kupców i plantatorów krytykuje ustawę z 15 maja: to owe ustępstwa miały doprowadzić do niesubordynacji niewolników i obudzić w nich wiarę, że urwanie większych kęsów dla siebie z miru prawnego kolonii, jest możliwe! Jest to mizerna argumentacja, jako, że przywoływane zapisy nigdy tak naprawdę nie weszły w życie, na co żaliła się choćby 5 września 1791 roku, na forum Zgromadzenia Narodowego, delegacja jakobinów z Brestu. Maximilien Robespierre podejmując ten wątek, przechodzi do kontrataku, publicznie oskarża Lametha i

Barnave'a o sabotowanie wdrażania majowej ustawy. W odpowiedzi zwolennicy lamethystów podnoszą niesamowite larum: krzyczą, że należy posłać Robespierre'a do więzienia za rzucanie oszczerstw. I oto na sali rozlega się jeszcze większy tumult: publiczność obserwująca przebieg obrad staje po stronie Robespierre'a i niemal wlewa się z trybun na salę zgromadzenia.

Na przestrzeni następnych dni obrady będą toczyć się już bardziej po myśli lamethystów. 24 września, Antoine Barnave recytuje raport czterech komitetów, którego wnioski współgrały z postulatami wysuwanymi przez lobby kolonialne. Zaprezentowana recepta jawi się następująco: status oraz prawa wyzwoleńców miały być ustalane przez zgromadzenie białych kolonistów, co w praktyce oznaczało obalenie ustaleń ustawy z 15 maja i przyjęcie najbardziej obcesowych praw, podminowujących pozycję Mulatów. Robespierre z wielkim zapałem, tak jak przed paroma miesiącami, wzywał posłów by nie ulegali szantażom plantatorów i kolonów. Podkreślał, że ustawa majowa nie legła u podstaw buntu niewolników z 22 sierpnia, gdyż niewolnicy zaprzęgnięci do pracy przez swych panów, nie mogli nawet dobrze poznać jej zapisów. Maximilien przypomniał, że plantatorzy lękają się tak naprawdę nie tyle przyznania praw wyzwoleńcom, co zniesienia niewolnictwa. Jego zdaniem koloniści powinni docenić postawę Konstytuanty, która nie podważała samej kwestii niewolnictwa: „Ustępowaliśmy im” – oświadcza – „mimo najwyższej odrazy do formalnego potwierdzenia niewoli”. Nie czas bowiem, zdaniem Robespierre'a, mówić o abolicji, to perspektywa dalszej przyszłości bowiem „postępy sprawiedliwości i ludzkości nie są dość szybkie, by móc przewidywać rychłą likwidację niewolnictwa”. Obecnie należy zrobić wszystko tylko w jednym punkcie: nie dopuścić do odebrania praw wyzwoleńcom. Maximilien ostrzega złowróźnie: „Słabość i tchórzostwo gubią rządy i państwa”. Za hasłami, iż Mulatom i innym wyzwoleńcom nie potrzeba praw politycznych, jeno cywilne, kryje się ta sama logika, która nakazuje co niektórym myśleć, że „ludowi

francuskiemu nie potrzeba wolności, byle mu dali spokój i chleba”.

Argumentacja Robespierre’a i innych mu podobnych nie osiągnęła masy krytycznej. Groźby rychłego upadku kolonii i pozbawienia rynku kawy i cukru, nazbyt mocno przemawiały do wyobraźni większości posłów, inni spośród nich posiadali własny interes w polaryzacji stosunków społecznych na wyspach. Ustawa z 15 maja legła w gruzach, zgromadzenie kolonistów z Saint Domingue otrzymało do ręki cep, który miał pomóc im teraz w zaprowadzeniu porządku w zbuntowanej kolonii. Barnave, Du Port i Lamethowie świętowali sukces. Ten pierwszy nie zapomniał z tej okazji skreślić listu do królowej Marii Antoniny, w którym przekonywał monarchinię, że przyjęta właśnie ustawa o którą tak zabiegał, daje królowi silny atut do ręki i wpływ na kwestię handlu i kolonii.

Chociaż faktyczne rozstanie nastąpiło już wcześniej, 25 września, Barnave, Du Port oraz Alexander i Charles Lamethowie zostali ostatecznie skreśleni z listy członków klubu jakobinów. Powód? W sprawie kolonii „działali przeciw prawom człowieka”.

Tak oto kończy się wielka debata o statusie kolonii i niewolnictwa w 1791 roku. Postulaty tych, którzy pragnęli łagodnych zmian zostały odrzucone. Sprzeciw wobec uświęceniu niewolnictwa poprzez wpisanie słowa „esclaves” do konstytucyjnego dekretu, choć konieczny, nie może do głębi poruszać serca rozmiłowanego w wolności. Również w Stanach Zjednoczonych, gdzie rewolucyjne hasła z 1776 roku dudniły o powszechnej emancypacji, wkrótce piękna syrena wolności miała przeistoczyć się w demi liberte, wolność połowiczną. Tu też wystrzegano się słowa „niewola” i „niewolnictwo”. Chętnie za to mówiono „o szczególnej instytucji stanów południowych” i „osobach zobowiązanych do służby lub pracy”. Owe pokrętne jurystyczne słowotwórstwo nadziewane sporą dawką hipokryzji, nie mogło zakłócić brutalnej rzeczywistości milionów Afrykanów wywiezionych ze swojej ojczyzny, zmuszonych do ciężkiej pracy

a w razie niesubordynacji , nie rzadko, w makabryczny sposób kaleczonych. Tak wyglądała realizacja ideałów Platona i Arystotelesa w XVIII wieku.

Abyśmy mogli prześledzić dalsze dzieje kwestii niewolnictwa i kolonii podczas rewolucji francuskiej, zaburzymy nieco chronologię naszej opowieści i prześledźmy wydarzenia z lat 1792-1794.

Posłowie kolejnego parlamentu francuskiego, Zgromadzenia Prawodawczego, by móc zapewnić lepszy obieg informacji oraz ułatwić krzewienie ideałów rewolucyjnych na prowincji, wysyłali nań własnych delegatów, oficjalnych przedstawicieli paryskiej centrali. W 1792 roku na Saint Domingue przybywają cywilni komisarze Zgromadzenia Prawodawczego. Są to kolejno: skierowany na gorącą północ, powiązany z żyrondistami Félicité-Léger Sonthonax, rezydujący bardziej na południu Etienne Polvérel oraz lojalny wobec monarchii Ailhaud, który zresztą szybko wróci do Francji. Trójka komisarzy pojawia się na Karaibach z jasno sprecyzowanym celem utrzymania niewolnictwa, rozładowania napięć między różnymi grupami ludności oraz wyciszenia rebelii niewolników. Każdy z nich, jak się zdaje, wierzył w nadrzędność i słuszność powierzonej mu misji. Félicité-Léger Sonthonax przeszedł do historii jako człowiek leniwy, nienajlepszy stosunek doń, z powodu konsekwentnej obojętności na kwestie religijne, miał głośny później przywódca powstańców, Toussaint-Louverture. Poglądy owego obrazoburczego Sonthonaxa od czasu przybycia na Saint-Domingue zaczynają ewoluować wraz z kolejnymi zawirowaniami rewolucji, staje się radykalniejszy a nawet wrażliwy na niedolę niewolniczej populacji wyspy, domagającej się teraz wolności absolutnej.



Krajobraz, który przywitał francuskich komisarzy na największej francuskiej kolonii na Antylach z dnia na dzień stawał się coraz bardziej zagmatwany. Starcia na północy między plantatorami i walczącymi o wyswobodzenie niewolnikami trwały nadal. Wkrótce we Francji obalono monarchię i proklamowano utworzenie republiki. Na wydarzenia za oceanem z posępną miną spoglądali kolonowie, większość z nich prezentowała opcje o zabarwieniu rojalistycznym. Z niechęcią przyjmowali republikańskie hasła wolności i równości oraz nowe uchwały parlamentarne, respektujące postulaty niższych warstw społecznych. Wiernymi admiratorami republikańskich idei stanęli za to wyzwoleńcy. Wolni Mulaci dostrzegali analogię między wstrząsami wolnościowymi na Saint Domingue a radykalizacją rewolucji we Francji. Nie monarchiści i zwolennicy utrzymania starego porządku, a właśnie obietnice demokratyzacji systemu i zniesienia ograniczeń majątkowych i rasowych, mogły przynieść im prawdziwą wolność. Tak więc podczas gdy na północy Saint Domingue dochodziło do walk między niewolnikami i białymi kolonistami, to na południu wyspy główna linia podziału przebiegała wzdłuż pozycji białych plantatorów oraz przekonanych coraz bardziej do nowego republikańskiego ładu, wyzwoleńców.

Chaos ogarniający francuską perłę Karaibów został zdynamizowany przez zewnętrzną ingerencję. Wydarzeniom na

Saint Domingue bacznie przyglądali się sąsiedzi po kądzieli, Anglicy i Hiszpanie. I mieli ku temu powodów przynajmniej kilka. W momencie obalenia monarchii i wprowadzenia nowego ustroju, rewolucyjna Francja stała się kłopotliwym precedensem i naturalnym wrogiem dla innych europejskich krajów, funkcjonujących na starych stanowych i królewskich paradygmatach. Każde potknięcie „plebejuszy, którym zachciało się władzy” było przyjmowane z aplauzem. Wykorzystując niefrasobliwość rewolucjonistów należało zrobić wszystko by przywrócić stary porządek we Francji i powstrzymać proces zarażania wolnościowym trądem poddanych, żyjących pod protektorem innych europejskich monarchów.. Kolonie były naturalnym frontem tej walki, otwartym na dobre we wrześniu 1793 roku.

Szamocące się w niewolniczych roszadach Saint Domingue, przedstawiało się przy tym jako niebezpieczny precedens dla wszystkich państw czerpiących korzyści z niewolniczych plantacji w obu Amerykach. Gdyby tylko ten sam, biały szkwał wolności, zaczął rozbijać się o brzegi hiszpańskiej Kuby lub angielskiej Jamajki, rynek towarów kolonialnych znalazłby się w katastrofalnym w skutkach kryzysie. Interwencja Anglików na Saint Domingue, odbyła się na wyraźną prośbę zniechęconych do republikańskiego ładu, białych kolonistów, lecz naiwnym byłoby twierdzenie, że lądowanie brytyjskich wybawicieli podyktowane było jeno wolą ulżenia niedoli francuskich plantatorów. W gabinecie premiera Williama Pitta młodszego, rozważano zapewne plan zwiększenia angielskich wpływów na Antylach. Powracający na francuski tron Burbonowie, także dzięki wstawiennictwu synów Albionu, mieli by honorowy powód do ustępliwości względem kolonialnej klienteli z Londynu.

Posterunek objęty przez komisarzy z metropolii, Sonthonaxa i Polveréla, rysował się więc jako przyczółek popłątany i niebezpieczny. Przez następne miesiące wpływy republikańskiej Francji na Saint Domingue zaczęły się kurczyć. Hiszpanie zdobyli sobie poparcie wielu czołowych niewolniczych

przywódców, wkupując się w ich łaski poprzez schlebianie im orderami i hucznymi tytułami. Na stronę hiszpańskich interwentów przechodzą Jean-Francois Popillon i Georges Biassou. Do czasu sprzyja im również Toussaint-Louverture.

Bezład ogarniający Saint Domingue, kojarzony z bezradnością i ospałością Sonthonaxa, sprawia, że plantatorzy dostrzegają własną szansę na przejęcie władzy i usunięcie niepożądanych elementów z wyspy. Przed najbardziej wpływowymi kolonami, wiosną 1793 roku, wystąpił z takim przesłaniem, dowódca wojsk w okręgu, Thomas Galbaud, notabene sam posiadający potężną plantację w newralgicznym regionie. Sięgając po stare separatystyczne hasła, przekonał on kolonów, iż należy pozbyć się komisarzy i zerwać stosunki z republikańską Francją. Biali koloniści na Saint Domingue odtąd mieli stać się panami własnego losu, prosperującymi oczywiście dzięki starym sprawdzonym wzorcom niewolniczego wyzysku. Muszkiety Galbaud miały dopełnić tylko formalności. Wbrew temu co nieuchronne, historia postanowiła wykonać jednak tym razem jeden z tych powtarzalnych, w pewnych epokach zwrotów, które rozluźniając spoiny obowiązującego systemu, przygotowują grunt do przyszłego demontażu przyjętych wzorców.

W maju Sonthonax, obserwujący nieprzyjazne działania kolonów, wezwał na pomoc niewolniczych insurgentów. W zamian za pomoc w ujarzmieniu oddziałów Galbaud, republikański komisarz, bez konsultacji z Paryżem, obiecał wolność dla wszystkich niewolników. Między 21 a 23 czerwca 1793 roku, tysiące afrohaitańskich powstańców wlało się do miasta Cap, które stało się teraz w pożodze ognia i mordów. Pozbawieni szans kontrrewolucyjni plantatorzy, zostali zmuszeni do ucieczki. Wraz ze swoimi poplecznikami i samym Galbaud, na pokładach statków, w liczbie tysięcy opuścili zrewoltowany północny obszar kolonii. W dniu 29 sierpnia 1793 roku doszło do wiekopomnego wydarzenia. „W odświętnie udekorowanym Cap, Félicité-Léger Sonthonax wśród wiwatów, ogłosił całkowite zniesienie niewolnictwa i uzyskanie przez byłych niewolników

praw obywateli Republiki Francuskiej". Obietnicy swojej dotrzymał. Uczynił to bez wiedzy i jakiegokolwiek upoważnienia ze strony francuskiego parlamentu. Samozwańcza decyzja Sonthonaxa, zmusiła do wprowadzenia tego samego rozporządzenia, drugiego z komisarzy, Eugene'a Polveréla. 22 września 1793 roku w Port-au Prince proklamowano zniesienie niewolnictwa na zachodzie i południu Saint Domingue. Stała się rzecz niezwykła! Stała się rzecz niesamowita w historii XVIII-wiecznego niewolnictwa! Pozornie nie oznaczało to niemniej ostatecznego zadekretowania wolności. By decyzja Sonthonaxa we francuskim prawodawstwie mogła się ostać potrzebna była jeszcze ratyfikacja Konwentu, trzeciego z kolei rewolucyjnego parlamentu Francji, który zaaferowanymi wydarzeniami na kontynencie europejskim, nie znał dobrze prawdziwej sytuacji na Antylach.

Konwent, zwany też Egzekutywą, zdawał się być najbardziej radykalnym, najdalej rozmiłowanym w hasłach wolności i równości ciałem przedstawicielskim Rewolucji Francuskiej. Posłowie, pomimo wielomiesięcznego urzędowania od czasu zniesienia monarchii, nie zdołali jednak z własnej inicjatywy uchwalić owego świętego prawa wolności, zapisanego w Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela. Instytucja niewolnictwa funkcjonowała nadal i była egzekwowana przez prawo Republiki. I oto przyszła ta zaskakująca wiadomość z prowincji. Sonthonax i drugi z komisarzy, bez zgody Konwencji znieśli niewolnictwo! Choć może i pchani w swych decyzjach przez bieg zdarzeń, nałożyli samowolnie na głowy wczorajszych wyrobników ów święty laur wolności. A nikt przecież kto posmakuje prawdziwej wolności, nie przystanie nigdy na powrót do uprzedniego stanu ubezwłasnowolnienia. Co zrobić? Jak się zachować? Przecież nawet zwolennicy stopniowych reform spod znaku Raynała, nie przewidywali tak szybkiego i nagłego przebiegunowania, natychmiastowego obalenia granic między wczorajszym niewolnikiem i jego nadzorcą.

4 lutego 1794 roku (16 pluviöse roku II), na wniosek Georges

Dantona i Jeana-Francois Delacroix na salę Konwencji trafia dekret o zniesieniu niewolnictwa we wszystkich francuskich koloniach. Do wspólnoty wolności mieli zostać włączeni więc nie tylko byli niewolnicy z Saint Domingue, ale i ich bracia w niedoli z Martyniki, Gwadelupy i innych krain nieszczęścia. Ci posłowie, którym nie podobał się ten wywrotowy pomysł, wiedzieli, że w radykalizującym się Paryżu nie ma obecnie koniunktury sprzyjającej jego negowaniu. Jeszcze tego samego dnia przewodniczący Konwentu ogłosił zniesienie niewolnictwa na terytorium wszystkich francuskich kolonii! Na sali zgromadzenia rozległy się oklaski i wielokrotnie powtarzane okrzyki: „Niech żyje Republika! Niech żyje Konwent! Niech żyje Góra!”. Tak oto doszło do tego, tak często pomijanego w podręcznikach historii, wydarzenia. Deklaracja o zniesieniu niewolnictwa na którą zdobyli się funkcjonariusze rewolucyjnej Francji w 1793 i 1794 roku stanowi niezwykłą kartę w historii XVIII-wiecznych, europejskich praktyk niewolniczych. Choć ogłoszona abolicja została niejako wymuszona przez rozwój wypadków i po kilku latach zdmuchnięta przez ludzi bliskich Napoleonowi Bonaparte, to wyprzedzała ona podobne dekrety z innych krajów o całe dziesięciolecia.

Wypadnie nam w tym momencie prześledzić jak w społeczeństwie francuskim w dobie rewolucji, postrzegana była w ogóle instytucja niewolnictwa, jak postrzegano kajdany ubezwłasnowolnienia w które zakuto zniewolonych Afrykanów? Z powodu ograniczonej spuścizny źródłowej nie da się uwypuklić wszystkich deseni i motywacji towarzyszącym temu zjawisku. Pewne postawy przywołać jednak należy, jeżeli chcemy uniknąć starej ograniczonej perspektywy historycznej, pisanej tylko w takt wyborów władców i nieopierzonych wykonawców ich woli.

Na samym wstępie, nie bez podstaw winniśmy zaznaczyć, iż kwestia zniewolenia i upodlenia nie rozgrzewała tylko umysłów wąskiego grona zrzeszonego w Towarzystwie Przyjaciół Czarnych. Symbolika niewolnictwa i zrzuconych kajdan przesycą bowiem całą retorykę rewolucyjną. Wielu ludowych aktywistów

rewolucji, najbardziej ordynarną formą zniewolenia, bo dotyczącą ich samych, dostrzegało w rozłamie stanowym między wąskim gronem beneficjentów systemu, arystokracji i wyższego duchowieństwa, a resztą społeczeństwa, obsługującą wąską elitę. Potępianymi insygniami, zmuszającymi lud do zachowania pozycji klęczącej, był cały system powinności feudalnych, wypompowujący z francuskiej wsi nektar jej pracy. Gdy więc Lustalot mottem swojej gazety czyni hasło: „Wydają się nam wielkimi, gdyż przed nimi klęczymy, podnieśmy się z kolan”, w zdaniu tym widzimy apel do siły twórczej i świadomości Francuzów, którzy jeśli tylko wyzwolą się od przygniatających ich stanowych konwenansów, wnet przybiją do portu wolności.

Na jeden z głównych symboli rewolucyjnych ze starożytnym rodowodem, rozpowszechniony przede wszystkim wśród sankiulotów, wyrosła osławiona czapka frygijska, przedstawiana jako akcesorium oswobodzonych niewolników. Gdy tłum wdziera się w momencie zamętu do pałacu i staje przed królem Ludwikiem XVI, w dowód lojalności wobec rewolucji, zmusza go do założenia popularnej frygijki. Nie wszystkim podoba się zbyt natrętne hołubienie tegoż sankiuluckiego symbolu wolności. Rekwizyt ten na stałe wpisuje się jednak w rewolucyjny krajobraz. W trakcie obrad Konwentu zakładają go nawet co niektórzy posłowie, także i tacy jak zamożny fabrykant Granet, który z prawdziwie ludową retoryką niewiele miał wspólnego.



Podczas wszelkich ludowych roszad wszystko co kojarzy się z zrzucanym stanem ucisku i niewolnictwa podlegało ocenie i destrukcji. Niebawem po zdobyciu Bastylii ludzie niszczą zegar wieży fortecznej, gdyż w kompozycji zegarowej dostrzegają zakutych więźniów. Z kaplicy usunięto obraz św. Pawła w okowach, bo i w nim odkryto uosobienie niewoli. Sceny te powtarzają się podczas wystąpień chłopskich na prowincji w latach 1789-1790: wszystkie symbole feudalnego ucisku i upośledzenia ludu są piętnowane i obracane w niebyt. Ferwor podnosi się też w Paryżu. Zgromadzony tłum protestuje przeciwko zachowaniu figur czterech niewolników w łańcuchach u stóp króla Ludwika XIV, będących częścią pomnika usadowionego przy placu des Victoires. Sankiuloci dostrzegają w rzeźbie autorstwa Desjardinsa, apoteozę niewolnictwa, domagają się jej zniszczenia. By ocalić zabytek postanowiono go przenieść i uczynić fragmentem pomnika Wolności, gdzie spętani niewolnicy staliby się na przekór symbolem „przesądu, nadużyć, feudalizmu i despotyzmu”. Tym sposobem napięcie wokół dzieła Dejardinsa zostaje tymczasowo rozładowane.

Przejdźmy jednak do kwestii interesującej nasz szczególnie z perspektywy tego rozdziału i poszukajmy odpowiedzi na pytanie: jak zareagowali mieszkańcy Francji na dekret o zniesieniu niewolnictwa we wszystkich francuskich koloniach, uchwalony 4 lutego 1794 roku? Do francuskiego parlamentu po tym chwałebnym dniu zaczęły napływać adresy gratulacyjne. Pochodziły one często z filii klubowych na prowincji, toteż złośliwi dostrzegą w nich jedynie czołobitne potwierdzenie decyzji centralnego personelu politycznego. Adresy przychodzące z okazji obalenia instytucji niewolnictwa wymagają jednakże szczególnego przytoczenia. Nie dlatego, iż odnaleźliśmy specjalny barometr umożliwiający odczytanie ich szczerości, lecz z powodu zawartych w nich treści, pozwalających odtworzyć pewne fragmenty dorobku świadomościowego tamtego okresu.

„Niewola Murzynów w naszych własnych koloniach zbyt już kontrastowała z naszą wzniosłą Deklaracją Praw, aby system ów

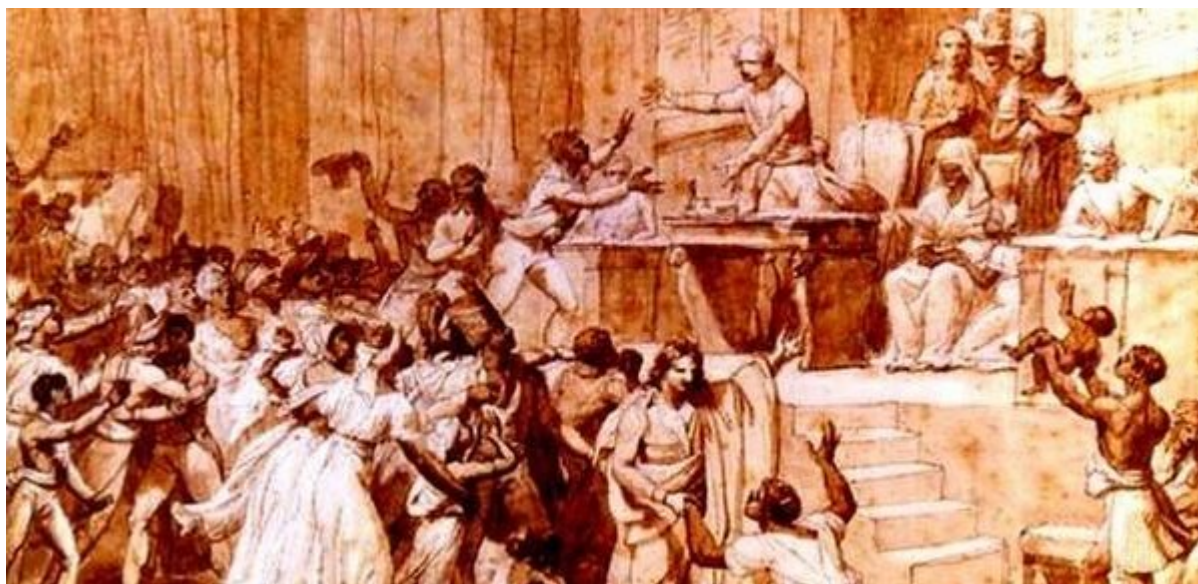
mógł się utrzymać jeszcze dłużej” – zapewniają autorzy licznych memoriałów gratulacyjnych. W innych pobrzmiewa przekonanie, że „nikczemnością lub głupotą jest traktować ludzi jak nędzne insekty tylko dlatego, że mają inny kolor skóry”. Dalsze utrzymywanie tego stanu uczyniłoby z nas kainowe plemię, gdyż „mimo różnicy koloru skóry ci ludzie są naszymi braćmi”. „Barbarzyński i potworny przesąd skazywał na status niewolników, czy raczej zwierząt, ludzi zdolnych do myślenia, do refleksji; ludzi, którym Natura, bardziej sprawiedliwa, przydzieliła inteligencję w takiej samej proporcji jak innym”. Za hasłami potępienia niewolnictwa szły i słowa nagany dla kolonów i handlarzy, tych którzy z systemu plantacyjnego czerpali największe korzyści. Kolonistów określano mianem chciwych i okrutnych, co specyficzne dla ducha czasu, zarzucano im że budowali swój egoizm i majątek na „arystokracji białej skóry”. Autorzy listów gratulacyjnych podkreślali, że, decyzja Konwencji z 4 lutego 1794 roku może i zaszkodzi ekonomicznym interesom Francji, lecz nie może to powstrzymać zamysłu narodu, który się regeneruje. Dla Francuzów nowej epoki „nędzne interesy” nie mają już „żadnego znaczenia”. „Ludziom wolnym przeto, nie przystoi frymarzyć wolnością innych ludów”.

W niektórych wyznaniach trafiających do parlamentu francuskiego pobrzmiewa mit „szlachetnego dzikusa”. Afrykanie potrafią lepiej korzystać z wolności – oznajmiają – gdyż jako dzieci Natury nie zaznali tak jak Francuzi „niewoli moralnej”. Niewolnicy przedstawiani są jako sankiuloci z natury, Francuzi dla odmiany stali się sankiulotami z idei i stąd choćby wynika pierwszeństwo tych pierwszych. W ostateczności jednak obie strony, zgodnie z prawem Natury, winny dążyć do jedności. Tu i ówdzie powstają nawet plany, które starają się pogodzić ekonomiczny interes Francuzów z walką o zniesienie niewolnictwa. I tak oto Saint Just w swojej pracy „Instytucje republikańskie” proponuje kupowanie niewolników na wybrzeżach Afryki i przewożenie ich do francuskich kolonii. W nowym domu Afrykanie mieli zostać obdarzeni natychmiastową wolnością,

parcelą ziemi i narzędziami służącymi do jej uprawiania. Oto ideał wolności, będący hydrą starych praktyk niewolniczych i wymogów wolności powszechnej.

Dumie ze zlikwidowania przerażającego procederu we Francji, towarzyszy potępienie dla innych nacji, które nie wyzbyły się praktyk co dopiero zarzuconych przez Paryż. Zapominając o wiodącej roli własnych rodaków chętnie wypominano Anglikom i Hiszpanom „cztery wieki handlu ludzkim ciałem”.

Spółeczeństwo francuskie w żadnym bądź razie nie przeskoczyło od razu z ziemi skutej kajdanami na listowie wolności i tolerancji. Obok niezwyklej marszów, podczas których białe kobiety karmiły piersią czarne dzieci, i na odwrót, czarne kobiety częstowały mlekiem białe dzieci, pojawiają się i głosy ulicznych trajkotów, którym nie podoba się społeczna habilitacja potomków niewolników. Policyjny agent Bacon cytuje kobiety z bulwaru du Temple: „Ma foi, daje się nam piękne siostry, Murzynki: nigdy nie potrafiłybyśmy żyć zgodnie z kobietami takiego rodzaju” – zawodzą wyraźnie. O ile znając długą historię uprzedzeń, posuniętą dwa wieki do przodu wprost do naszych czasów, nie zostaniemy zaskoczeni takim wyziewem nieczułości w rzeczywistości XVIII wieku, o tyle warto zapamiętać ówczesne przypadki, nie rzadko szczere, fraternizowania się z tej okazji, białych i czarnych obywateli Francji. Uściski, pochody i okazywane nawzajem łązy radości. Jakkolwiek później trwałe, miało to w istocie miejsce.



Wśród głosów radości z powodu zniesienia niewolnictwa na wszystkich terytoriach francuskich, najśłabszy wiwat dobywał się z krtani Maximiliena Robespierre'a, tego samego, który przed trzema laty protestował przeciwko segregowaniu i handlowaniu prawami człowieka. W swoich osobistych notkach, będących podwaliną pod przyszłe oskarżenie Dantona wypomina mu „przeprowadzenie dekretu z 4 lutego 1794 o zniesieniu niewoli, dekretu skutkiem, którego może być utrata kolonii przez Francję”. Powody sceptycyzmu Robespierre'a co do wyzwolenia niewolników wykraczają poza personalny i ideowy spór z Dantonem. Maximilien nie ufał również komisarzowi Sonthonaxowi, przed wyjazdem z Francji powiązanego z żyrondistami. Gdy latem Sonthonax samowolnie, bez zgody Konwentu, ogłosił uroczyście zniesienie niewoli w Cap, w wybiegu tym Maximilien zamiast obiecującego fajerwerku wolności, dostrzega jeszcze jeden przejaw przebiegłości strąconych z parlamentarnego cokołu zwolenników opcji z Girondins. A od tego punktu już tylko jeden krok by uznać motywacje i cele żyrondistów i dantonistów za jednakie. Co sprawiło tak daleką ewolucję Robespierre'a, iż polityczne maksymy w jego percepcji zaczęły zwyciężać z realizacją najpierwszych zasad? Odpowiedź na te pytanie znajdziemy w kolejnych rozdziałach naszej pracy.

Gdy latem 1793 roku Sonthonax ogłosił zniesienie niewoli na Saint Domingue, a w lutym 1794 decyzję tą zadekretował francuski Konwent, nie było to pierwsze i jedyne światło wolności jakie zaświeciło nad haitańską ziemią. Od dekad wyrwani ze swej ojczyzny niewolnicy, zbiegali z plantacji, próbując żyć samodzielnie z dala od bata kolonów, w niedostępnych partiach gór. Tworzyli nieduże, mniej lub bardziej trwałe osady, tępione przez kolejne ekspedycje karne. W międzyczasie wybuchały otwarte powstania niewolników. W 1718 roku uciekinierzy z plantacji dowodzeni przez Michela stawiają pierwszy znaczny opór Francuzom. Piętnaście lat później na czele buntu niewolników staje niejaki Polydor. W 1757 uciemiężeni Afrykanie, prowadzeni przez legendarnego Mackandala, raz jeszcze potwierdzają nie zdarte aspiracje wolnościowe. Wszystkie te wystąpienia kończą się klęską, a żyjący w ukryciu uciekinierzy z plantacji, teraz wolni, stanowili zaledwie pojedyncze tratwy dryfujące po oceanie zniewolonej populacji wyspy.

Wielkie powstanie niewolników z sierpnia 1791 na zawsze zmieniło obowiązujące wzorce dominacji i wyzysku na Saint Domingue. Wielu niewolników w ekstrawertycznym buncie, opuszczających plantacje i z furją rzucający się na dobytek wczorajszych panów, już nigdy nie pokłoniło się by za darmo i w stanie podległości zbierać plony dla białych kolonistów. W tym sensie, korzystając ze sprzyjających wydarzeń we Francji, wczorajsi niewolnicy samodzielnie sięgnęli po laur wolności, sami włożyli go sobie na głowę. Niejeden z nich z nadzieją ufał, że przeszedł automatycznie ze stanu uciemiężenia do stanu wolności całkowitej. Jako ideał, w wyobraźni przeciętnego afrohaitańskiego wyzwolenca, rysowała się praca własnych rąk na swoje potrzeby. Pierwsze lata niewolniczej rewolucji przynieść miały wielkie rozczarowanie.

Po roku 1794 udział w kontroli nad wyspą starych i nowych wyzwoleńców sukcesywnie się zwiększał. Na południu prym wiodli Mulaci z Rigaud i Beauvais na czele. Ich wpływy a w końcu i upadek w sierpniu 1800 rokiem oraz ewakuacja wojsk angielskich z 1798 roku, przyniosła niepodzielną władzę nad wyspą ludziom spod znaku Toussaint-Louverture'a, który został teraz wodzem naczelnym wojsk Republiki Francuskiej w Saint Domingue. Można by powiedzieć, że sukces niewolniczych powstańców wywindował wielu z nich do najwyższych urzędów w kolonii. Toussaint-Louverture dzięki prężnym sukcesom wyrósł na historyczny symbol tego zwycięstwa. Rzeczywistość, oglądana z bliska jawi się mniej kolorowo. Wbrew rychłym nadziejom wielu wyzwoleńców, zwłaszcza tych z Północy, nie doszło do spodziewanej parcelacji ziemi. Handel drobną własnością ziemską został wstrzymany poprzez wprowadzenie zakazu sprzedaży gruntów o powierzchni mniejszej niż 56,5 hektara. W tej sytuacji beneficjentami nowego porządku stawała się powstańcza elita, przejmująca opuszczone plantacje. Nowa poniewolnicza generalicja przeobraziła się szybko w klasę wyższą. Toussaint-Louverture posiadał kilka plantacji kawowych i kilka mniejszych nieruchomości. Obrotny Dessalines dzierżawił trzydzieści plantacji cukrowych z których czerpał dochody szacowane na setki tysięcy franków. Zbliżony majątek zgromadzili również jego podkomendni.

Kto miał pracować na nowych, „wolnych” plantacjach? W czasie powstania, w zależności od analizowanego regionu, zniszczonych zostało od 1/3 do 2/3 ogółu plantacji. Oznaczało to klęskę dla rynków towarów kolonialnych. By podtrzymać i odbudować zachwiany potencjał postanowiono utrzymać wielką gospodarkę własnościową. Pierwszym krokiem do wypełnienia tego postulatu miało okazać się zadekretowanie przywiązania do ziemi byłych niewolników, zwanych teraz z dumna rolnikami (cultivateurs). Różnica polegała na tym, że teraz za wykonaną pracę mieli otrzymywać oni 1/4 dochodów plantacji. Jak zaznacza Paul Moral, „tą lekko złagodzoną pańszczyznę przedstawiano jako rozwiązanie sprzeczności istniejących między postulatem

wolności a utrzymaniem się tradycyjnego systemu kolonialnej uprawy roli". Stan ten respektowali wszyscy od Sonthonaxa, przez Hiszpanów, Rigaud na Toussaint-Louverture kończąc.

Tak oto zrzućcie pokoleniowego jarzma niewolnictwa zamiast przynieść wolność realną na Saint Domingue, przeobraziło się nagle w *demi liberté*, wolność połowiczną. Do nowej formy wyzysku trudniej było przywiązać samych zainteresowanych. Ci, którzy poczułi zew wolności nie wyobrażali sobie by z powstańczego uniesienia pełnego swobody, mogli nagle przyjąć ograniczenia, przywiązujące ich do ziemi. Jeśli tylko nadarzała się sposobność, zwłaszcza na północy wyspy, zbiegali oni z plantacji w góry, próbując żyć z dala od plantacyjno-militarnej organizacji społeczeństwa. Starali się tworzyć małe wspólnoty, pracujące na własny użytek: wielkie plantacje cukru i kawy zastępowały ogrody warzywne. Według obowiązującego prawa, każdy taki śmiaćek stawał się renegatem ścigany z urzędu. Więzienia były zapełnione uciekinierami zwanymi „włóczęgami”. Wszyscy szukający niezależności, zarówno przez „Anglików i Hiszpanów, rojalistów i republikanów, Toussainta-Louverture’a i Rigaud – określani byli mianem „bandytów”. Kajdany jakie, nowa republikańska administracja kolonii postanowiła nałożyć „współbraciom w wolności”, dały szerokie pole do spekulacji i zakłamywania rzeczywistości. W memoriale adresowanym przez kilkudziesięciu kupców z Bordeaux do Rady Pięciuset, nowego umiarkowanego parlamentu Francji, debatującego już po obaleniu robespierrystów i zakończeniu właściwej fazy rewolucji, pojawiają się nawet sugestie, że wczorajsi niewolnicy niezadowoleni z nowych stosunków panujących na wyspie domagają się wręcz powrotu dawnych panów, czyli *de facto*, przywrócenia niewolnictwa.



W samej Francji, gdzie stłumiono już ruch sankiulocki i do głosu powracali teraz zakamuflowani konserwatyści i kupieckie gildie, z coraz większą irytacją spoglądano jak piecze nad największą kolonią na Antylach przejmuje czarna populacja wyspy. Na celowniku znalazł się Toussaint-Louverture, którego wojska objęły kuratelą całe Saint-Domingue. Choć sprzyjał on i białym plantatorom, to jego zadufane odezwy budziły popłoch i lęk przed wymknięciem się z francuskiej zastawy kolonialnej kasku najważniejszego. Beneficjenci przemysłu kolonialnego, czekali tylko na sposobność by obalić, szalony w ich narracji, jakobiński dekret o zniesieniu niewolnictwa z 4 lutego 1794 roku. Pomyślne wiatry zawiąły dlań po dojściu do władzy Napoleona Bonaparte. Śniący o wielkiej Francji cesarz zapragnął odzyskać wszystkie stare wpływy na Karaibach. Incydent z Saint Domingue, Napoleon postrzegał jako niebezpieczny wyłom w hegemonii białych. W lutym 1802 roku do newralgicznego regionu wysłał ekspedycję wojskową pod dowództwem własnego kuzyna, Charlesa Leclerca. Celem interwencji było obalenie rządów czarnych generałów i przywrócenie starego niewolnictwa. Wśród wojsk Leclerca znaleźli się i polscy żołnierze z Legionów Dąbrowskiego, zrekrutowani rzekomo w celu walki o wolność. Armia Leclerca podstępem pojmała i deportowała do Francji Toussaint-Louverture'a, lecz zacięty opór afrohaitańskiej ludności, walczącej między innymi pod wodzą Dessalinesa i Christophe'a,

trwał nadal.

Co znamienne, podobnie jak wcześniej powstańcza elita i administracja kolonii, Charles Leclerc największe zagrożenie i przeszkodę dla realizacji własnych planów widział w aktywności wolnych grup ludności, żyjących w górach, w stanie niezależności od systemu plantacyjno-militarnego. Głównodowodzący wojsk Bonapartego nie miał wątpliwości, że nie uda ich się nigdy zmusić do bezwolnej pracy na rzecz francuskiej gospodarki. Dlatego 7 maja 1802 roku w liście do Napoleona, napisał: „oto moja opinia o tym kraju: trzeba zgładzić wszystkich Murzynów z gór, mężczyzn i kobiety, zachowując jedynie dzieci w wieku poniżej 12 lat, zniszczyć połowę Murzynów z nizin i nie pozostawić w kolonii ani jednego Mulata noszącego epolety”. Leclerc zapowiadał zatem konieczność eksterminacji i masowych mordów, które nie powinny wzruszać człowieka kroczącego ku wielkości, jak widział siebie jego kuzyn, występujący teraz w roli cesarza. Walki między napoleońskimi interwentami i afrohaitańczykami przemieniły się w brutalną wendettę, zakończoną jednakże triumfem tych, którzy postanowili raz na zawsze zedrzeć z siebie szaty niewolnika. Ziściła się wielokrotnie przytaczana przepowiednia Toussaint-Loverture’a, który już uwięziony i wkraczający na francuski okręt mający następnie deportować go do Francji powiedział: „obalając mnie ścięto na Saint Domingue tylko pień drzewa wolności Murzynów, odrośnie ono, gdyż korzenie jego są liczne i sięgają głęboko”.



W sierpniu 1803 roku proklamowano utworzenie niepodległego państwa Haiti. W odezwie skreślonej na polecenie Dessalinesa, Boisrond-Tonnerre pisze: „Przysięgamy wobec całego wszechświata, wobec potomności, wobec nas samych iż na zawsze wyrzekamy się Francji, iż umrzemy raczej, niż żyć będziemy pod jej panowaniem, iż walczyć będziemy aż do ostatniego tchu o niepodległość naszego kraju”. Przysięgę tę dotrzymano, Dessalines nie zapomniał przy tym poinstruować swojego doradcę o konieczności dodania wersetów zachęcających do mordów i nienawiści wobec białych, zwłaszcza Francuzów. Ogłoszeniu niepodległości Haiti towarzyszył skandal i wołanie Europejczyków o konieczności wypłacenia odszkodowań dla byłych posiadaczy niewolników. Możliwości takiej nie przewidywał Jean-Jacques Dessalines, przeciwny takiemu rozwiązaniu był wiele lat wcześniej również Sonthonax. O stracie posiadaczy niewolników jednak nigdy nie zapomniano. W 1825 roku król Francji, Karol IX (hr. Artois), wydał ordonans wzywający Haiti do wysokich odszkodowań na rzecz kolonów w zamian za uznanie przez Francję niepodległości Haiti. W 1838 roku starania konstytucyjnych monarchów Francji przyniosły sukces. Przez kolejne 150 lat państwo haitańskie zobligowało się do przekazywania na rzecz Francji srogiej kontrybucji. Marzenia o wolności okazały się drogie. Nic zatem dziwnego, że dekret o zniesieniu niewoli w 1794, nietrwały i zdmuchnięty przez nową polityczną opcję we Francji, pozostał tylko mdłym

wspomnieniem.

Autor: Damian Żuchowski

Dla „Wolnych Mediów”

WYBRANA LITERATURA

1. Jan Baszkiewicz; „Robespierre”, Wrocław 1976.
2. Jan Baszkiewicz; „Nowy człowiek, nowy naród, nowy świat”, Warszawa 1993.
3. Tadeusz Łepkowski; „Haiti. Początki Państwa i Narodu”, Warszawa 1964.
4. Henryk Zis; „Kupcy i Kidnaperzy. Handel niewolnikami w dziejach Afryki i Ameryki”, Lublin 1999.
5. I. Biezuńska Małowist, M. Małowist; „Niewolnictwo”, Warszawa 1987.
6. Jan Baszkiewicz; „Danton”, Warszawa 1978.
7. Jan Baszkiewicz; „Francuzi 1789-1794. Studium świadomości rewolucyjnej”, Warszawa 1989.
8. „Filozofia Francuskiego Oświecenia”, Warszawa 1961.
9. Jean Jacques Rousseau; „Umowa Społeczna (1762)”, Kęty 2002.
10. Monteskiusz; „O duchu praw (1748)”, Kraków 2003.